

O specyfice karaimskiej w *Meirze Ezofowiczu* Elizy Orzeszkowej

KRZYSZTOF BILIŃSKI

Powieść Elizy Orzeszkowej *Meir Ezofowicz* ukazywała się cyklicznie na łamach poczytnych „Kłosów” w 1878 roku, wtedy też pojawiło się wydanie osobne. Dzieło to, stawiane wysoko przez badaczy literatury, stanowi punkt zwrotny w dziejach polskiej powieści, ponieważ widać w nim zarówno cechy wcześniejszego nurtu tendencyjnego, jak i późniejszego – realistycznego. Fabuła utworu osadzona jest w fikcyjnym Szybowie, a intryga obraca się wokół dwu rodów, które są od wieków skonfliktowane: kupców Ezofowiczów, którzy starają się tradycję żydowską traktować w sposób racjonalny, a nawet filozoficzny, przy zachowaniu zdrowego rozsądku i rabinów Todrosów, którzy w swym mistycyzmie i fanatyzmie starają się zawrzeć jedynie słuszne, ich zdaniem, spojrzenie na świat.

W czasach najbliższych zatarg narasta między młodym, zادیornym, ale zarazem poszukującym prawdy Meirem Ezofowiczem oraz starym Izaakiem Todrosa. Na tym tle rysuje się jeszcze jedna społeczność zupełnie pomijana przez historyków literatury – karaimi¹.

W Szybowie zajmują oni miejsce oddzielne, odseparowane od wyznawców judaizmu, choć jednocześnie narrator przedstawia związaną z nimi interesującą historię miasteczka:

„Nie zawsze przecież Szybów posiadał taką sławę prawowierności. Owszem, pierwszymi założycielami jego byli odszczepieńcy, przedstawiciele w Izraelu ducha opozycji i rozbioru, karaici. Niegdyś, bardzo dawno temu, nawrócili oni byli na wiarę swą możny lud zamieszkujący płynącą winem i złotem ziemię Chersonesu i stali się jej królami. Potem ze wspomnieniami królowania tego, z jedyną religijną i prawodawczą księgą swą, Biblią, powędrowali w świat podwójni wygnańcy Palestyny i Krymu, a mała część ich sprowadzona na Litwę przez w. Księcia litewskiego, Witolda, posunęła się aż na Białoruś i tam osiadła w gromadce domków i lepianek, którą nazwano Szybowem.

¹J. Krzyżanowski, *Historia małego miasteczka*, w: tenże, *W kręgu wielkich realistów*, Kraków 1962, s. 167 – 182 zupełnie pomija ten problem, skupiając się wyłącznie na konflikcie wewnątrz gminy żydowskiej. Niewiele nowego wnosi Postłowie tegoż autora do wydania *Meira Ezofowicza* (Warszawa 1973, s. 409 – 430) czy rzekomo nowe odczytanie powieści, dokonane przez Annę Tatariewicz w *Salonie odrzuconych* („Kultura” 1975, nr 4, s. 4 – 5). Uwaga od redakcji: Karaimi występują tu jako wyznawcy religii, nie grupa etniczna, stąd pisownia z małej litery.

Natenczas w piątkowe i sobotnie wieczory panowała w miasteczku głucha cisza i ciemność, karaici bowiem wbrew talmudystom nie spotykali świętego dnia sabatu światłem rześnistym, gwarnym weselem i obfitymi ucztami, ale witali go ciemnością, milczeniem, smutkiem i rozmyślaniem nad upadkiem chwały świątyni i mocy ojczyste²” (t. I, s. 14 – 15)².

Wypada zwrócić tutaj uwagę na dwie istotne kwestie: historyczną i religijną. Mamy, więc przeprowadzoną analizę dziejów wspólnoty karaimejskiej i przybliżenie jednego z charakterystycznych obyczajów. Narrator nie wchodzi zbyt głęboko w te zagadnienia, służą one, bowiem ukazaniu odrębności tego nurtu wyznaniowego. Smutne losy karaimejskich są w *Meirze Ezofowiczu* prezentowane wielokrotnie, przeważa jednak pogląd o ich przywiązaniu do *Pisma Świętego* i niechęć do tradycji żydowskiej. Jeśli określa się ich mianem odszczepieńców, to nie jest to opinia ani narratora, ani samej Orzeszkowej, lecz powszechnego przekonania o nich wśród wrogich im ludzi³:

„Potomkowie chazarskich władców, kacerze, stanowiący, jak zwykle bywa, wśród społeczeństwa swego ogromną mniejszość i będący dlań przedmiotem niechęci i wstrętu, znękani i biedni, z upartym swym a wyłącznym przywiązaniem do Biblii w sercu, ze swymi poetycznymi legendami na ustach, opuścili miejsce, które im dało chwilowy przytułek. Rozeszli się w świat szeroki i nieprzyjazny, za cały ślad dwuwiekowego pobytu swego w szarej gromadce domostw rzuconej wśród białoruskich rozłogów pozostawiając kilka rodzin wytrwalszych” (...)
[t. I, s. 16 – 17]

Jedną z ulubionych zabaw dzieci żydowskich było dokuczanie karaimejskim już w piątek. Krzyki, obrażanie uczuć religijnych, stukanie w ściany, rzucanie grudkami ziemi i drobnymi kamieniami w okna – to charakterystyczne formy tych „rozrywek”, a tak naprawdę prześladowań. Na tym tle wyróżnia się wspaniała karaimejska *zejde*⁴ (dziadek), opiekun młodej dziewczyny – Gołdy⁵. Swą niewzruszonością i wiarą zasługuje niewątpliwie na podziw:

²Wszystkie cytaty za: E. Orzeszkowa, *Meir Ezofowicz*, Warszawa 1951 i dalej z podaniem tomu i strony.

³Analiza i interpretacja pomieszczona w niniejszym szkicu nie rości sobie prawa do wyczerpania tematu i jest jedynie wstępnym rekonesansem badawczym. Autor stanął tutaj przed zadaniem trudnym, można wręcz stwierdzić – pionierskim – bo dotychczas nieznanym w literaturze przedmiotu.

⁴„zejde” jest wyrazem zaczerpniętym z jidysz – na pewno nie jest to wyraz występujący w języku karaimejskim (dziadek to *itta*). To dowodzi, że Orzeszkowa nie zetknęła się bezpośrednio z Karaimejskimi i korzystała z jakichś pośrednich źródeł informacji (polskich?) (red.).

⁵Imię Golda jest imieniem żydowskim (z niem. *Gold* – złoto) – Orzeszkowa zapewne nigdy nie spotkała się bliżej z Karaimejskimi i nie wiedziała, jakie imiona są wśród nich spotykane. Karaimejski nosili wyłącznie imiona biblijne, w dokumentach urzędowych występujące w formie ich polskich lub rosyjskich odpowiedników (Simcha – Szymon, Szmion, Chana – Anna), imion podobnych brzmieniowo (np. Rachel – Helena, Revička – Raisa, Keczija – Katia, Malka – Malwina, Emilia) lub ustalonych zwyczajowo odpowiedników (np. Ruchama – Janina).(red.)

„– A w święty dzień sabatu, Jehowa, niech będzie pochwalone święte imię Jego, daje spoczynek świętej rzece Sabation... Żwir przestaje płynąć, jak wielkie bałwany i kamienie nie huczą jak las... tylko znad rzeki, co leży i nie rusza się, powstaje wielka mgła, taka wielka, że aż wysokich obłoków dostaje, i chowa znów przed nieprzyjaciółmi cztery pokolenia izraelskie: Gad, Asur, Dan i Neftali...” (t. I, s. 47 – 48).

Natrętne wyrostki zostały przepędzone przez Meira Ezofowicza, co powoduje, że stał się on przyjacielem Gołdy i wrogiem Todrosa. Pomaganie karaimom uchodziło wtedy za przejaw zdrady i zaparcia się własnej wiary. Można zatem stwierdzić, że tytułowy bohater swym czynem sprzeciwił się małomiasteczkowej tradycji i talmudycznym nauczycielom.

Pokazuje to doskonale kolejny fragment powieści:

„Nagle jedna z dziewcząt siedzących u niższego końca stołu, ta sama, która przed chwilą wprowadziła była do rodzinnego koła starą prababkę, dziewczyna ze smagłą twarzą i czarnym, figlarnym okiem zawołała, wesoło uderzając w dłonie:

– Ja wiem, gdzie dziś jest ciemno!

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej i wszystkie usta zapytały:

– Gdzie?

Pod wpływem ściągniętej na siebie powszechnej uwagi Lija zarumieniła się i ciszej już, z niejakim zawstydzeniem, rzekła:

– W chacie Abła karaima, tej, co tam przy karaickim pagórku stoi.

– Meir! Czy ty był u karaimów?

Pytanie to wymówionym zostało przez kilkanaście głosów, spośród których wyróżniał się wszakże wszystkie inne przenosząc piskliwy, ostry głos mełameda.

Na onieśmiałą dotychczas twarz młodego człowieka wybijać się począł wyraz przykrego i gniewnego nieco rozdrażnienia.

– Ja u nich nie był – odpowiedział głośniejszym głosem niż wprzód – ale ja ich od wielkiej napaści obroniłem.” (t. I, s. 65).

Nie ulega żadnej wątpliwości, że bohater tytułowy pozostawał w Szybowie odosobniony tak w swych poglądach, jak i czynach. Miejscowi ludzie krytycznym okiem patrzyli na jego szlachetne pobudki i porywy serca. Takim właśnie dobitnym przykładem mogła być obrona karaimskiej rodziny, która nie zrodziła się z rozważań nad potrzebą dostrzeżenia racji inaczej wierzących, lecz z chęci niesienia pomocy innym ludziom, czyli z szeroko pojętych zasad demokracji i tolerancji. „Błąd” Meira Ezofowicza polegał w tym wypadku na rzekomym złamaniu zasad sabatu, tak przynajmniej osądziła ten czyn starszyzna żydowska. Jak w całej powieści, tak i tutaj cały czas ścierają się dwie przeciwstawne racje – otwarta i zamknięta, pełna miłości bliźniego i wroga w stosunku do wszystkiego, co obce, wreszcie woła zmiany świata i ludzi oraz zachowania *status quo* za wszelką cenę. W sposób szczegółowy, analityczny i jednocześnie okrutny wiarę karaimską podsumował wiekowy rabin Todros:

„– Karaimy! – krzyczał miotając się na swym stołku i rękami chwytając się brody swej i włosów – ty karaimów ratowałeś! Odszczepieńców! Niedowiarków! Wyklętych! Na co ich ratować? Dlaczego oni w sabaty święteł nie zapalają

i w ciemnościach siedzą? Dlaczego oni zwierzęta i ptaki, co do jedzenia służą, nie z przodu, ale z tyłu szyi żarzynają? Dlaczego oni Miszny, Gemary i Zoharu nie znają?” (t. I, s. 68; por. też s. 94 w tym samym tomie).

Dla dzieła Orzeszkowej istotne znaczenie ma rodzące się piękne platoniczne uczucie do karaimki Gołdy, wnuczki Abła, która, jest ufna w stosunku do ludzi i nie dzieli ich w zależności od narodowości czy wyznawanej wiary.

Dziewczyna nie tylko chciała podziękować młodemu, niepokornemu Żydowi, ale zarazem uświadomić mu jego utajone wartości duchowe:

„Ty, Meir, dobry jesteś, rozumny i piękny. Imię twoje znaczy „światłość” i mnie przed oczami robiło się światło, ile razy ja zobaczyłam ciebie. Ja dawno chciałam ciebie znaleźć i porozmawiać z tobą, i powiedzieć, że ja chcę przez całe życie moje do ostatniego dnia o tobie myśleć... Ja tobie chciałam powiedzieć, że choć ty wnuk bogatego kupca, a ja wnuczka biednego karaima, co koszyki plecie, my jednacy w oczach Pana Przedwiecznego i mnie wolno na ciebie oczy podnieść i na twoją światłość patrząc być szczęśliwą!...” (t. I, s. 102 – 103).

Wyznania Gołdy brzmiały jak herezja, gdy weźmie się pod uwagę religijny punkt widzenia, jaki pokutował w Szybowie. W tym ujęciu karaimi są zakałą narodu żydowskiego. Jakże odmienny jest w tej sytuacji głos prostej dziewczyny, dostrzegającej w Bogu Ojca wszystkich ludzi, niezależnie od ich pochodzenia i statusu materialnego. Ona tak naprawdę niewiele potrzebowała od losu, wystarczyło jej, że może oglądać ukochanego Meira Ezofowicza i spotykać się z nim:

„I wyglądała w istocie na szczęśliwą. Śniade, zapadłe policzki jej teraz dopiero opłynęły łuną płomiennego rumieńca, wargi purpurą zaszyły i drgały, a w czarnych oczach wzniesionych ku twarzy młodzieńca i napełnionych uwielbieniem namiętym stały dwie srebrne łzy” (t. I, s. 103).

W podobny sposób reagował żydowski młodzieniec.. Dostrzegł w Gołdzie już nie tylko prostą i skromną dziewczynę, ale bliską mu istotę, która doskonale rozumie jego troski, zmartwienia i rozliczne konflikty. W rewanżu niejako postanowił, że i on uzewnętrzni swe skrywane dotąd uczucia:

„Meir słuchał ją ze spuszczonego wzrokiem, a gdy umilkła, podniósł powieki, patrzył na nią przez chwilę i szepnął z cicha:

– Jaka ty wdzięczna jesteś, Gołdo, i – piękna!

Po raz pierwszy w ciągu rozmowy swej z Meirem Ezofowiczem oczy spuściła i machinalnie zgarniała poczęła ku sobie wysokie trawy o puszystych kiściach rosnące dokoła.” (t. I, s. 103)

Ta charakterystyczna scena miłosna należy, zdaniem piszącego te słowa, do najciekawszych w literaturze polskiej. Oszczędność słów, wymowa spojrzeń i wszechobecna wstydlivość nadaje jej cech szlachetności i dziewictwa. Kryje się w tym potęgą pozytywnych emocji, jakie targają bohaterami, tak naprawdę od samego początku na siebie skazanych. Orzeszkowa uciekła się tutaj do romantycznej koncepcji pokrewieństwa dusz, choć nadała jej wydzźwięk już zgoła inny – pozytywistyczny.

Znamienne jest zachowanie Gołdy – pomimo prześladowań, ośmieszania i wykpiwania – zachowała optymizm i radość życia, tym bardziej że była sierotą.

Różniła się jednak od innych kobiet, bo miała wykształcenie, które zawdzięczała dziadkowi:

„A jak ja wyrastałam, prząść mię nauczył i czytać Biblii, i wszystkie piękne historie znać, co je karaimi przynieśli sobie z dalekiego świata” (t. I, s. 104).

Podczas tego dialogu cały czas narrator uświadamia nam obecność kozy, wspomina o koźlątku i można odnieść wrażenie, że sceną tę należy traktować wyłącznie w kategoriach zoologicznych. Wydaje się jednak, że to interesująca próba wskazania na erotyczne pragnienia bohaterów: bycia ze sobą, założenie rodziny, posiadania dzieci. Stan Meira Ezofowicza w reakcji Gołdy uwidaczniał, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, rozbieżność między etymologicznym i realnym wyobrażeniem osobowości. Oznacza to, że imieniu „światłość” przeciwstawiony jest smutek młodego człowieka.

Wynikał on z faktu, że na świecie są „czarni ludzie”, czyli ci, co czynią zło, szkodzą innym, upowszechniają ciemnotę, broniąc przy tym swoich interesów. Łatwo dostrzec, że z postawą tą można się było pogodzić i pozostać w Szybowie albo opuścić miasteczko i odejść gdzieś daleko... Wyobrażeniem tej drugiej myśli był bohater żydowskich podań – rabbi Akiba, człowiek mądry i szczęśliwy. Żydowski młodzieniec także chciałby poznać tajemnice otaczającego go świata:

„– I ja bardzo ciekawy – mówił dalej po chwili milczenia – ja bym chciał wiedzieć, jakim sposobem gwiazdy po niebie chodzą i trawy z ziemi wyrastają... jak wszystkie narody na ziemi żyją i jakie są rozumne i święte ich księgi i ja bym chciał wszystkie rozumne księgi te przeczytać i z nich nauczyć się myśli bożej i doli ludzkiej, ażeby dusza moja stała się tak pełną wiedzy, jak pełną wody jest wielka przepaść morza... Ja taki ciekawy... ja tak bym chciał” (t. I, s. 109).

Marzenia Meira Ezofowicz wykraczały daleko poza wyobrażenia szybowskiej wspólnoty. Chciał się uczyć, poznawać nie tylko wiedzę religijną, ale i świecką. W tej pierwszej nie dostrzegał wyłącznie zbiór pustych formuł i zaklęć, lecz nade wszystko porady duchowe, które wzbogacają człowieka, niezależnie od miejsca i czasu ich powstania.

Zupełnie inaczej zachowanie bohatera oceniał Izaak Todros. Dla niego wszelkie te działania, a przede wszystkim porozumienie z karaimami, powodują, że znajdował on tylko jedno dobitne określenie: *kofrim* (niedowiarek). Posądzenie o nieszanowanie wiary ojców było niebezpieczne, groziło bowiem, w szczególnym wypadku, wykluczeniem ze wspólnoty. Dla wielkiego rabina jedyną szansą uratowania młodego człowieka był rychły ożenek, który uniemożliwiłby mu brnięcie w grzesznych myślach i podejrzanym poglądach.

Życie rodzinne ma w założeniu być *remedium* na wszelkie duchowe rozterki i niepokoje moralne. Meir Ezofowicz swój smutek, związany z przyszłym małżeństwem, wyjawiał Gołdzie. Wybór Mery, córki kupca Witebskiego, miał nie tylko usatkwować młodzieńca, ale zarazem nobilitować żydowskich kupców. Obie strony były zgodne, że takie małżeństwo będzie i tylko sam bohater nie jest tą propozycją zainteresowany. Karaimska dziewczyna swą radością życia pomaga mu bez słów:

„Młody człowiek nic nie odpowiedział, a jednak Gołda nie pytała dłużej. Śniadę czoło jej opłynęło rumieńcem, a wyraz szczęścia niewysłowionego napętnił

oczy, bo wzrok Meira tkwił w jej twarzy, łagodny, litościwy jakiś, głęboki i zarazem ognisty” (t. I, s. 170).

Dialog pary zakochanych osób, przerwany krótką rozmową Meira Ezofowicza ze starym Ablem, zakończoną wzajemnym życzeniem pokoju, skończył się w znamienny sposób. Mowa jest tutaj o pięknej tradycji karaimejskiej, otusze, jaką wzbudza wzajemna obecność, i tradycji żydowskiej, sięgającej czasów biblijnych:

„– Meir – rzekła tak cicho, że słowa jej przygłuszały nieledwie ciche szepty wieczornego wiatru – daj ty mnie obietnicę jedną! Kiedy tobie niedobrze będzie w domu dziada twego, Saula, i kiedy ty smutek na sercu swoim poczujesz, przychodź ty wtedy do domu naszego. Niech ja o każdym smutku twoim wiem i niech zjedy mój pociesza cię tymi pięknymi historiami, które on opowiadać umie!

Meir nie odpowiadał długo. Byłże to blask złotego płomyka, który mu padał na twarz? Czoło i oczy jego były całe w ogniu.

„– Gołdo! – rzekł silnym głosem – ja jak prorocy Izraela ręce swoje na dwoje raczej rozetnę, niż cokolwiek kiedy przeciw sercu memu zrobię” (t. I, s. 176).

Ta znamienna deklaracja, złożona przez bohatera, była dla niego niesłychanie ważna – nie wyparł się jej też w przyszłości, nawet w obliczu groźących mu kar i społecznego potępienia. Można zaryzykować stwierdzenie, że niewzruszona szlachetność Meira Ezofowicza połączona z jego wrażliwością i delikatnością z jednej strony budzi opór mieszkańców Szybowa, z drugiej natomiast wzbudza w Gołdzie porywy uczuciowych marzeń [„(...) długo jeszcze patrzyła szeroko rozwartymi oczami na gwiazdy, które migotały za oknem”- t. I, s. 177].

O dzielności karaimejskiej dziewczyny może świadczyć sytuacja, w której wraz z ukochanym nuciła melodię, opatrzoną tekstem, głoszącym zmartwychwstanie, aby w ten sposób wesprzeć bliską jej osobę i łagodnie przeciwstawić się mężom żydowskim. Nic dziwnego, że Kamionker powiedział:

„On [Meir Ezofowicz] z karaimejską dziewczyną nieczystą przyjaźń trzyma i my widzieliśmy jego teraz na łące, jak synowie nasi u nóg jego jak u nóg mistrza jakiego leżeli, a nad głową jego karaimejska dziewczyna stała i razem z nim śpiewała obrzydliwe pieśni” (t. I, s. 218; por t. II, s. 27).

Kolejne spotkanie bohaterów nastąpiło wtedy, gdy Meir Ezofowicz został skazany na pokutę w ha-midrachu. Można powiedzieć, że nie nawrócił się jednak, a pociechy raz jeszcze szukał u Gołdy. Trawić go też począł niepokój o drogą mu osobę:

„Ciebie zaczęli już prześladować za to, że ty serce swoje połączyłaś z moim sercem i głos swój dałaś za towarzysza mojemu głosowi... i ja cię przez to zgubię... Może już lepiej oczy i usta zamknąć... smutkowi i tęsknocie kazać, żeby z serca szły precz... i żyć tak, jak oni wszyscy żyją?...” (t. II, s. 32 – 33).

Dla tytułowego bohatera zasadniczym pytaniem pozostawała świadomość odtrącenia przez gminę wyznaniową, przez mieszkańców Szybowa. Odpowiedzi szukał u Abla, a dokładnie w wygłaszanych przez niego przekazach starotestamentowych:

„– Jehowa rzekł: „Uczyniłem cię, proroku, stróżem Izraela! Słuchaj mowy mojej i powtarzaj ją ludowi twemu. Jeżeli czynić to będziesz, nazwę cię wiernym

sługą moim, lecz jeśli milczeć będziesz, na głowę twoją spadną nieszczęścia Izraela!

Stary głos wymawiający te słowa umilkł, a Meir słuchał jeszcze z podniesioną, pobladłą twarzą i żarzącym się okiem. Po chwili wskazał palcem ku temu punktowi ciemnej izby, w którym znowu szemrać poczyniała modlitwa starca, i drżącym głosem rzekł:

– To jest prawda! Przez usta jego przemówił Stary Zakon mojżeszowy! Prawdziwy nasz święty Zakon” (t. II, s. 37).

Słowa Abła skłoniły do refleksji również Gołdę. Przypomniała ona o śmierci proroka Ozjasza, wygnaniu Jeremiasza z Palestyny i o słowach, skierowanych przez Rut do swej teściowej Noemi i o zawartych w nich smutku. Meir z kolei przypomniał sobie, że rabbi Akiba „w wielkich męczarniach umarł”. Narrator te rozterki i nadzieje tak podsumował:

„W ten sposób dzieci te, przejęte na wskroś tchnieniem starych dziejów i podać Izraela, które im całą mądrość świata zastępować musiały, z nich czerpały dla siebie naukę, pociechę, męstwo i łzy” (t. II, s. 38).

Po raz kolejny z obrazem karaimów spotykamy się w momencie, gdy narrator przedstawia się dzień targowy w miasteczku. Co znamienne obszerniej opisuje on Abła niż Gołdę, dziadek też, dzięki swemu opowiadaniu, wyraźnie wysuwa się na plan pierwszy:

„Zdawać się mogło, że Abel czuł tę zwrócona na siebie otaczającej go gromadki i że mu wszystkie oczy te w jego twarz wlepione rozpałały serce i rozpałały pamięć. Zza czerwonych, mrużących się powiek źrenice jego błysnęły srebrzyście, ze zmiętego czoła zsunęła się w tył nieco puszysta czapka lisia, a gdy podniósł głowę żółtawe pasma długiej brody jego rozłożyły się szerzej jeszcze i podniosły się aż na ramiona. Wyglądał wtedy jak stary, wpółślepy lirnik radujący i doskonalszy pieśniami swymi duszę narodu” (t. II, s. 77 – 78).

Interesująco wypada także prezentacja Gołdy, która „poważna jak zwykle” potrafi zmienić się w jednej chwili, gdy tylko widzi drogą jej osobę. Ten ostatni, podążając na spotkanie z Izaakiem Todrosem, nawet nie zauważył wzroku zakochanej w nim dziewczyny:

„Wzrok jej utkwiał w jednym punkcie rynku, na czoło i twarz całą wybuchnął płomienny rumieniec, a na ustach rozkwitał uśmiech dziecięcy prawie i razem namiętny.

O kilkadziesiąt kroków od miejsca, na którym znajdował się Abel i wnuczka jego, wynurzył się z tłumu Meir i swobodniejszym nieco przejściem szybko postępując zmierzał prosto ku nim. Nie widział ich jednak; patrzył prosto przed siebie oczami, w których malowały się pośpiech i niepokój; minął Abła i Gołdę nie spostrzegłszy ich nawet i wszedł w bramę synagogałnego dziedzińca” (t. II, s. 79).

Nie należy wątpić, że Orzeszkowa konsekwentnie realizuje, dzięki rozbudowaniu ciągu obrazów młodej karaimskiej kobiety, emocjonalny aspekt jej wierności i przywiązania do innego człowieka. Jest to uczucie, któremu nie jest w stanie się oprzeć, bo już sam widok młodzieńca powoduje u niej gwałtowne

reakcje organizmu, nie dające się zresztą ukryć. Poważna na co dzień Gołda, skryta i małomówna, rozkwitała niejako pod wpływem Meira Ezofowicza, z dziewczyny szarej i przeciętnej staje się piękna i powabna.

Ta właśnie wspomniana miłość, jak już wspomniano romantycznie pojęta, zmieniała człowieka i to nie tylko zewnętrznie, bo miała ona również moc przekształcania osobowości: lęk, obawę i strach zamienia w nadzieję, optymizm i sens dalszego życia.

Sytuacja młodego żydowskiego myśliciela i buntownika doprowadziła w konsekwencji, mimo wielokrotnych wcześniejszych upomnień i ostrzeżeń, do wyklęcia go przez potężnego rabina. Winy niepokornego młodzieńca były wyjątkowo liczne, wśród nich przeważało oczywiście utrzymywanie zakazanych stosunków z ludźmi nieczystymi, a nawet sprzyjanie im i pomaganie:

„(...) pomieniony Meir, syn Beniamina, zaniedbywał strzec sabatu wedle praw i ustanowień izraelskiego Zakonu i zamiast oddawać się w dniu tym, jak prawemu Izraelicie przystoi, pobożnym czytaniom i rozpamiętywaniu niezliczonych przepisów Talmudu ośmielał się strzec i bronić mieszkania odszczepieńcy karaima, na dzieci izraelskie w gniewie ręce podnosić, a w miejscach ustronnych przekłete księgi czytać i świeckie pieśni śpiewać” [t. II, s. 188 – 189] i dalej:

„(...) nieczystą przyjaźń trzymał on z Gołdą, karaimką, wnuczką odszczepieńca, któremu rabin Izaak i kahalni z wielkiego tylko miłosierdzia w domu ojców jego żyć pozwalają, albowiem karaimi, jako dobrowolnie odpadli od łona Izraelowego, a świętości Talmudu i Kabały uznać nie chcący, niegodni są, aby ich ziemia na powierzchni swej nosiła – Meir Ezofowicz, syn Beniamina, obcował często z nimi, z Gołdą karaimką w ustronnych miejscach schodził się, kwiaty z jej ręki przyjmować śmiało i głos swój dawał za towarzysza jej głosowi razem z nią świeckie pieśni w sabat śpiewając.” [t. II, s. 190].

Dramat tytułowego bohatera ujawnia się w całej pełni, kiedy zestawia się jego śmiałość, odważne poglądy, w których przebija tolerancja i otwartość nawet w stosunku do obcych ludzi, z formalistyczną, zgryźliwą i niepodatną na żadne argumenty logiką szybowskiego rabina. Starcie tych dwóch różnych mentalności, a zarazem chęci wiedzy i dominacją władzy musi skończyć się klęską Meira Ezofowicza. Jak się jednak rychło okaże, odniósł on jednak zwycięstwo moralne, skłaniając lud do refleksji, do zastanowienia się nad tym, jak zbożne formuły świętych ksiąg idą duchem czasu i to, czy to zapis jest już nieaktualny, czy raczej podlegają one niesprawdzalnej interpretacji.

Wydaje się, że na podstawie przywołanych tutaj oskarżeń, łatwo zrekonstruować „winę” bohatera. Kontaktował się przecież z osobą, która w myśl późnej tradycji żydowskiej była uważana za istotę skalaną, heretyczkę. Spotykał się z nią w miejscach odosobnionych, poza zasięgiem ludzkiego wzroku, co też było zakazane, gdyż niedwuznacznie sugerowało (taka była ówczesna obyczajowość, nie tylko zresztą żydowska) bliższy i jednocześnie wątpliwy związek. Grzechem, obrzydliwą nieczystością było też przyjmowanie czegokolwiek z rąk osoby niewiernej (nie-Żyda), co skądinąd, zwłaszcza w sprawach handlowych często po-

mijano. Z kolei wspólne śpiewanie „pieśni świeckich” i to w dodatku w sabat również traktowano jako poważne wykroczenie przeciwko Prawu i Zakonowi.

Ostatnie spotkanie bohatera z bliską mu dziewczyną nastąpiło w momencie, gdy przekazywał jej „pisanie”, duchowy testament Michała Ezofowicza, w którym doszły do głosu zarówno racjonalistyczne wątki filozofii Majmonidesa, jak i perspektywy niezbędnych reform polityczno – obyczajowych. Meir Ezofowicz uciekał z tym wielkim skarbem przed sfanatyzowanym tłumem, który podburzał stary rabin. Grozy tej sytuacji dodawało jego podarte ubranie i krwawiące czoło. Gołda zareagowała łagodnie i czule:

„– Och! – jęknęła z głębi piersi i ręce obie podniosła ku swemu czołu, a potem opuściła je i schylona ku człowiekowi, który usiadł pod oknem na ławie, z powstrzymanym oddechem i urywanym, śpiesznym szeptem jakimś wodzic poczęła dłońmi po opylonych włosach jego i zranionym czole. W namiętnej piesszczocie tej było także coś z uczucia macierzyńskiego, pragnącego uspakajać, goić i pocieszać” (t. II, s. 196).

Młody żydowski reformator wcale nie miał pewności, że jego postępowanie, jego pragnienia i idee są bezwzględnie słuszne i pewne, wręcz przeciwnie targaly nim wątpliwości i rozterki:

„Pójdę ja... pomiędzy drzewami leśnymi twarzą na ziemię padnę i z wiatrami, które tam szumią, posyłać będę Jehowie głośnie krzyki moje... Ja muszę przed Nim skarżyć się... muszę Jego błagać... muszę o wiele rzeczy... Jego zapytywać się Pełną jest pierś moja krzyków mojej duszy... ja musza je z siebie wydać... bo one za gardło mię chwytają i duszą...” (t. I, s. 197).

Zakończenie powieści przynosi jeszcze dwa charakterystyczne opisy scen miłosnych. To właśnie to ostatnie spotkanie bohaterów obfituje we wzrost napięcia uczuciowego. Pada tutaj znamienne wyznanie:

„Gołda! – rzekła z cicha – ty jesteś połową duszy mojej... idź ze mną w świat... ja cię za żonę pojmem i trzymając się za ręce będziemy razem znosić przekleństwo ludzkie i starać się, żeby kiedyś na imiona nasze spłynęło błogosławieństwo (...) Chciała jeszcze coś powiedzieć – nie mogła. W radości bezprzytomnej, z pierśią drżącą płaczem, śmiechem, westchnieniami i niewymawialnymi dziękczynieniami pochylała się nisko i całą wysmukłą, giętką kibicią swą zawisała na jego ramieniu. On szyję jej objął, głowę przycisnął do piersi i usta zatopił w jedwabistej gąszczu jej włosów...” [t. II, s.198] i dalej:

„A twarzy jej można było poznać, że czuła się ogarnięta jakby snem cudownym (...) Patrzali na siebie długo przez łyzy. Miłość gorejąca na dnie ich źrenic wyglądała zza tej srebrzystej powłoki tak czystą i bohaterską, jak czystymi i bohaterskimi były ich serca” (t. II, s. 201).

Okrutny los rozdzielił bohaterów. Siepacze Todrosa w swym tępych i bezwzględnych zapale zamordowali Abła i Goldę, wiedząc, że to właśnie u nich znajdowało się zakazane „pisanie”. Meir Ezofowicz mógł tylko przeżywać dojmujący i porażający smutek:

„Tam, za tą sadzawką, z której na wiosnę wydobywała ona wodną lilię podając mu ją spośród gęstwiny trzciny... Tam, za tą łączką, wśród której po raz pierw-

szy wyznała mu swą miłość świeżą a płomienną jak kwiat dziko wzrosły na bogatym gruncie... tam... w głębiach gaju tego, w którego gęszczach chórem wnet zaśpiewają ptak swobodne, szczęśliwe w gniazdach swych miłości pełnych... tam... kędyś... ukryta przed wszelkim okiem ludzkim – leżała ona u nóg dziada swego, owinięta cała płaszczem swych czarnych włosów...” (t. II, s. 227 – 228).

Meir Ezofowicz nie sławi jednak zwycięstwa Izaaka Todrosa, choć tak się pozornie wydawałoby. Wręcz przeciwnie, to tytułowy bohater zwycięża, bo racja aksjologiczna jest przecież po jego stronie. Tę prawdę zrozumieli nawet mieszkańcy Szybowa, którzy wreszcie doszli do wniosku, że mają dość fanatyzmu i złej woli starego rabina.

Miłość obojga bohaterów, stylizowana na dawną historię pięknej Racheli i jej męża – mądrego Akiby, obfituje w wiele wątków melodramatycznych, nie można jednak odmówić niektórym scenom piękna, autentyczności, których próżno szukać w literaturze polskiej tego czasu.

Ich głębsza wartość polega na maksymalnym uproszczeniu, a zarazem skondensowaniu przekazu. Miłość może obejść się bez słów, wystarczą tylko gesty, wygląd czy tylko szczerłość intencji.

Gołda kocha Meira Ezofowicza, bo widzi w nim człowieka szlachetnego, prawdziwego w myśli, mowie i czynie, on widzi w niej swą powiernicę i jedyną osobę godną bezinteresownej przyjaźni. Nie ulega żadnej wątpliwości, że uczucie, łączące bohaterów, nie sprowadza się wyłącznie do zjawiska, które da się wyjaśnić tylko w kategoriach jednostkowych. Mamy tutaj do czynienia z wyraźną wymową społeczną, obyczajową i religijną – karaimi w myśl ówczesnej, niewątpliwie nowatorsko rozumianej socjologii, etyki i religioznawstwa nie są obywatelami gorszej kategorii i w pełni zasługują na objęcie ich zasadami tolerancji, a nawet szacunku. Warto przy lekturze *Meira Ezofowicza* pamiętać o tych fundamentalnych dla powieści, a niesłusznie pomijanych prawdach, ponieważ one również przyczyniły się, jak można sądzić, do europejskiego rozgłosu dzieła.